

KOCHANKOWIE MOJEJ MAMY
KINO POLSKA 1.30 PIĄTEK 2.25 ŚRODA
BEZ ZNIECZULENIA
TVP POLONIA 21.30 SOBOTA
STAN POSIADANIA
KINO POLSKA 23.25 NIEDZIELA
TATARAK
CANAL+ 8.55 PONIEDZIAŁEK
ROSYJSKIE KONFITURY
TVP 1 20.25 PONIEDZIAŁEK
KUCHNIA POLSKA
KINO POLSKA 21.00 PONIEDZIAŁEK

Z Krystyną Jandą
rozmawia Jacek Cieślak



Na widowni bywam sama

Wyreżyserowała pani „Rosyjskie konfitury” Ludmiły Ullickiej, współczesną wersją „Wiśniowego sadu” Czechowa, czyli autora, od którego zaczęła się pani kariera. W 1974 roku debiutowała pani rolą Maszy w „Trzech siostrach” Aleksandra Bardinięgo z Joanną Szczepkowską i Ewą Ziętek. Jakł był dla pani czas?

Wspaniały. Byłam studentką III roku i debiutowałam, partnerując wielkim aktorom – Zbigniewowi Zapasiewiczowi, Markowi Wałczewskiemu, Piotrowi Fronczewskiemu, Jerzemu Kamasowi, Bronisławowi Pawlikowi. Wiedziałam, jaka to dla mnie szansa, a jednocześnie umierałam ze strachu. Wszystkie umierałyśmy. „Garnitur” panów był paraliżujący. Ale

Bardini był bezpiecznym reżyserem. U niego nie można się było pomylić.

Ojcował?

Trochę też, ale był surowy, czasem w walce o doskonałość okrutny. Wymagał. Dosadnie mówił o błędach. Może nawet bardziej niż znakomitych partnerów, także moich profesorów, bałam się jego. Nie tolerował infantylizmu, braku umiejętności, niewyraźnego mówienia. To był czas, kiedy w telewizji próbowało się tak jak w teatrze, przez miesiąc. Zdjęcia trwały potem pięć dni. Teraz mamy siedem dni na wszystko, w zasadzie nie ma prób. Nie istnieje funkcja realizatora telewizyjnego. Pamiętam, że Bardiniemu nie starczy-

ło czasu i ostatni akt „Trzech sióstr” nagraliśmy w 20 minut, tylko jeden raz, bez możliwości powtórzenia.

Kiedy przyszła propozycja zagrania Maszy, była pani w ciąży.

W czwartym miesiącu. Profesor, angażując mnie, powiedział o szansie, o mocnym debiucie. Obawiał się, że po urodzeniu dziecka zostanie w domu i wszyscy o mnie zapomną. Kilka zdolnych aktorek tak właśnie przepadło.

Pani się udało.

Po emisji zadzwonili do mnie prawie wszyscy dyrektorzy warszawskich teatrów i zaproponowali angaż. Spektakl widział także Andrzej Wajda. Zapamiętał

mnie i kiedy przyszedł czas „Człowieka z marmuru”, zaprosił na plan. Tak, to był dla mnie niesamowity wieczór. Telefon nie milkł nawet w nocy. Teraz, gdy pójdą „Rosyjskie konfitury”, zadzwonią może dwie osoby. Ale w tamtych latach Teatr Telewizji oglądało całe środowisko. Na tej podstawie powstawał ranking. Dowiadywano się, kto jest nowy, jakie ma emplot, ile umie. Dziś, kiedy chcę zobaczyć młodzież aktorską, szukam jej w serialach. Oglądam, ale i tak nic z tego nie wynika. W związku z tym moja wiedza opiera się na płytach DVD, które zostawiają w naszym teatrze, żeby się zaprezentować. Mam tych płyt całą półkę. Robimy też przesłuchania, co się dawniej nie zda-

rzało. Zdarza się, że oglądamy 60 młodych aktorów. Przyjeżdżają i grają po jednej scenie. Bywa, że popołudniami w Polonii są przy pustej sali wystawiane całe przedstawienia...

Nie rozumiem.

Aktorzy z całej Polski chcą pokazać swoje spektakle. Mają nadzieję, że włączą je do repertuaru. Czasem na widowni jestem sama. Na początku się krepowałam. Nie wyobrażałam sobie takich sytuacji. Ale uległam. Proszą o to.

Na deskach teatralnych spotkanie z Czechowem zaczęła pani od „Mewy”, gdzie zagrała pani Ninę Michajłównę Zarieczną, młodą zbuntowaną aktorkę w spektaklu Janu-

Podpowiadała, jak grać?

Tak, ale to nie było konieczne, bo Warmiński był precyzyjnym reżyserem, świetnym rzemieślnikiem. Lubiałam Ateneum, wiele się tam nauczyłam.

Nina była zbuntowana. A pani?

Nie musiałam się buntować, ponieważ przed przejściem do Ateneum zagrałam w „Portrecie Doriany Graya” Andrzeja Łapickiego w Teatrze Małym. Na ekranie wszedł „Człowiek z marmuru”, a w Opolu zaśpiewałam „Gumę do żucia” Marka Grechuty.

Węście smoka....

Nie musiałam się „przebijać” buntem. Liczono się już z moimi, pomysłami. Wykorzystywano moją energię, tak jak to zrobił Andrzej Wajda. W Ateneum czułam się dobrze, dyrektor respektował moje terminy filmowe, a robiłam wtedy dwa, trzy filmy jednocześnie. Zaczęłam wyjeżdżać do pracy za granicę.

Najnowsze pani spektakle – „Wasa Żelaznowa” w Och-Teatrze i telewizyjnie „Rosyjskie konfitury” są o rodzinie, a raczej o jej rozpadzie. Tak! nastąpił czas?

To ponadczasowy temat. W XIX wieku też się o tym mówiło. Ale tradycje rodziny zdarzają się coraz rzadziej. Ludzie migrują, szukają pracy, kariery, szczęścia w świecie. W Ameryce wielopokoleniowych domów prawie nie ma. Tylko w żydowskich domach. W Rosji jeszcze pozostały, ale wynika to również z ekonomii i braku innych możliwości.

Połączy trzymają się jeszcze tradycji?

„Z rodziną jest najtaniej (śmiech). I najbezpieczniej. Babcia jest najtańszą i najbardziej godną zaufania osobą przy pielęgnowaniu i wychowywaniu dziecka. Miłości babci i dziadka nie zastąpi nic. Socjalistyczne przedszkola i żłobki narobiły tyle złego, że rodzice, którzy przez nie przeszli, mają złe wspomnienia.

A zauważyła pani, że 20-latkowie, 30-latkowie uciekają panicznie od rodzinnego stołu, a święta są dla nich katorgą?

Tak. A z drugiej, gdy się ogląda statystyki, okazuje się, że wielu 30-latków mieszka nadal z rodzicami. Nie dlatego, że nie można inaczej: tak jest najwygodniej. Wolą być u mamy, niż dorosnąć i zmagać się z nudną codziennością. Nie chcę się zresztą wyrażać, bo obracam się w specyficznym środowisku. Pewnie z perspektywy mojego pokolenia najbardziej dotkliwa była emigracja sprzed kilku lat, która zabrała moim rówieśniczkom-matkom dorosłe dzieci. Do dziś są za granicą, nie wracają.

W pani teatralnym gabinecie jest przytulnie jak w domowym saloniku. Gdzie jest pani dom – w Polonii czy w Milanówku?

W Milanówku. Polonia jest siedzibą fundacji, którą stworzyliśmy z mężem. Oczywiście w teatrze spędzam więcej czasu. Na dom przypada noc, ale jest ważniejszy. Mieszkają w nim moja mama, synowie. Jeden jest w wie-

ku maturalnym, drugi zaczął studia. W tym domu skupia się cała moja rodzina. Wszyscy wiedzą, że to bezpieczna przystań, z regularnymi posiłkami, zwyczajami, bez względu na to, czy tam jestem, czy mnie nie ma.

Święta były dla pani czasem wytchnienia od teatru, zajmowała się pani tylko rodziną?

Pracuję intensywnie już trzydzieści kilka lat. Ale nigdy nie przynosiłam pracy do domu. W święta odwiedzają mnie przyjaciele pozateatralni, siostra z rodziną, osoby samotne. Nie ma mowy, żebyśmy mówili o teatrze. Poza tym, nikogo w Milanówku nie obchodzą specjalnie moje zawodowe problemy, a ja nimi nikogo nie obciążam.

Wyobraża sobie pani, że nasze obyczaje zmieniają się tak bardzo, że nie będzie świąt albo będziemy je obchodzić jak na Zachodzie, w zalczykowej Europie?

Nie bardzo. Może. W mojej rodzinie, póki żyje moja matka i póki ja będę miała coś na ten temat do powiedzenia, święta będą takie jak dawniej w domu moich dziadków, który pamiętam z dzieciństwa. Mam jednak bardzo wielu przyjaciół, zarówno w Polsce, jak i na świecie, którzy spędzają święta w Rzymie albo na nartach, chodząc po górach, błądząc w Bieszczadach...

Uciekają z domu?

Nie. Uważają, że tak jest lepiej. Poczytać, pochodzić, zwiedzać, zmienić powietrze, aurę, atmosferę, myśli. Często są to ludzie samotni. I na samą myśl o rodzinie czy działce i ogrodnictwie dostają febrę. Wszystko zależy od upodobań i wyboru sposobu życia.

A najmłodsze pokolenie w pani rodzinie, na przykład synowie, lubią święta?

Są w domu, ale się świętami specjalnie nie ekscytują. Siadają z całą rodziną do śniadania świątecznego. Rozmawiają, kontaktują się z nami w granicach uprzejmości i idą do swoich komputerów, filmów. Nikt ich zresztą nie przymusza, żeby nam towarzyszyli, skoro ich nie interesują nasze rozmowy. Dojrzeją do tej potrzeby. Tak było i z nami.

Pani dzieci będą chciały kontynuować świąteczną tradycję?

Marysia jako nastolatka traktowała święta podobnie jak synowie, a dzisiaj ma dzieci, swój dom i bardzo o świąteczną atmosferę dba. Myślę, że to przychodzi z wiekiem, z rodziną, której towarzyszy poczucie odpowiedzialności za wychowanie potomstwa. Ale nikogo nie można zmuszać do tradycyjnego, kulinarnego życia rodzinnego przy stole.

Pani telewizyjna adaptacja „Rosyjskich konfitur” jest niezwykle dynamiczna, żywa – to muzyka domowego hałasu, rozmów, paplaniny. Tak! był pani pomysł?

Tak jest napisana ta sztuka. Autorka podkreśla, że ważną stroną przedstawienia jest dla niej ścieżka dźwiękowa. Wymogi telewizji są takie, że spektakl nie może trwać dłużej niż 80 minut, a ja miałam ponad 100 stron tekstu, po skróceniach. Świet-

nego, wielowątkowego, z bólem serca wykreślałam całe sceny. Musiałam opowiadać szybko, żeby pokazać jak najwięcej smacznych fragmentów. Dlatego zdecydowałam się na jedno wnętrze, gdzie wszyscy mówią naraz, tematy się mieszają. Z chaosu wynika jednak bardzo zabawna, klarowna i wyrazista opowieść o czasach, które nadeszły. Kiedy obejrzałam zmontowaną całość, nie mogłam złapać tchu. Żeby dać widzowi oddech, podzieliliśmy się z Milenią Fiedler, montażystką, spektakl na sekwencje.

Zaprosiła pani do spektaklu Ignacego Gogolewskiego. Wcześniej zagrała w Polonii w „Grubych rybach”. Lub! pani pracować ze starymi mistrzami?

Jak już wspomniałam, jestem silnie związana z tym pokoleniem. Kiedy teraz pracujemy z panem Ignacym, cały czas przypomina mi się jego wiele, wiele ról. To skarby, które on i jego rówieśnicy podarowali nam, mnie, na progu dorosłości i życia aktorskiego. Są nie do przecenienia. Ukształtowały mnie. Dały inspirację na całe życie. Miałam wspaniałych mistrzów. Dzięki nim poznałam światowe arcydzieła w najwspanialszej formie. Jestem tym, kim jestem, dzięki spektaklom, obrazom, koncertom, książkom, które podziwiałam. Myślę, że dzisiejsza generacja 20-latków, która ogląda klasykę okrojona, pokiereszowana, jest pozbawiona takich doświadczeń. Przecież nigdy nie dotrą do źródeł. Nie czytają tekstów przeznaczonych na scenę. Tyle wiedzą, ile zobaczą.

Reżyserując, przyjmowała pani uwagę Ignacego Gogolewskiego?

Oczywiście. Również w Polonii wszyscy pracujemy w przyjaźni, w atmosferze partnerstwa. Teraz Anna Polony reżyseruje u mnie „Pana Jowialskiego”. Gram Szambelanową, Wojciech Malajkat – Szambelana, rolę tytułową – Marian Opania. Nie wyobrażam sobie, żeby nie powiedzieli, co myślą i na co mają ochotę. Debiutuje w naszym towarzystwie czwórka studentów – moich i Anny Polony. Musimy przekazać im wiedzę, którą mamy, bo „Pan Jowialski” to sztuka, której siłą są role młodych. My powinniśmy być ich „koronkami dookoła chusteczki”.

Dziś klasykę się uwspółcześnia. Nie tęskni pani za graniami w kostiumie?

Zamiast tęsknić – gram: „Trzy siostry”, „Grube ryby”. Bez większych skreśleń. To, co się robi dziś z klasyką w teatrach, jest często przykładem robienia awangardy na siłę. Uwielbiam kostium i publiczność też go lubi. Między innymi właśnie dla tej „wystawy” często przychodzi do teatru. Z pieczołowitością dobieram kostiumologów i scenografów. Kiedy planowałam „Wasa Żelaznową”, wiedziałam, że będę grać na scenie Och-Teatru, z widownią po obu jej stronach – bez ścian. Musiałam zbudować atmosferę i teatralny kontekst z pięciu mebli, więc zaprosiłam do współpracy Macieja Marię Putowskiego. To chodząca historia polskiej scenografii filmowej, poczynając od Hasa przez Wajdę po współczesne filmy niemieckie. On też zrobił scenografię do „Rosyjskich konfitur”.

**Krystyna Janda**

Jedna z najwybitniejszych polskich aktorek, reżyserka, felietonistka. Skończyła liceum plastyczne, potem PWST w Warszawie (1975). Zdebiutowała w Teatrze Małym rolą tytułową w „Portrecie Doriany Graya” Oscara Wilde’a. Debiutem filmowym była rola Agnieszki w „Człowieku z marmuru” Andrzeja Wajdy. Zagrała u niego również w „Dyrygencie”, „Bez znieczulenia”, a ostatnio w „Tataraku”, który współtworzyła monologiem poświęconym zmarłemu mężowi – wybitnemu operatorowi Edwardowi Kłosińskiemu.

Wydarzeniami były zarówno jej dramatyczne role w filmach o zabarwieniu politycznym, m.in. w „Przesłuchaniu”, jak i obyczajowe w „Kochankach mojej mamy” Radosława Piwowarskiego czy „Pestce” według powieści Anki Kowalskiej, którą również wyreżyserowała. Rolami teatralnymi biła rekordy frekwencyjne. Tak było z Medeą w spektaklu Zygmunta Hübnera. „Shirley Valentine” i „Edukację Rifi” zagrała ponad 400 razy. Stała się mistrzynią monodramu, czego najlepszym przykładem nieschodząca z afisza od lat „Boska”.

Jest prezesem zarządu Fundacji Krystyny Jandy na Rzecz Kultury, pod kuratelą której działa najprężniejsza prywatna scena w Polsce – Teatr Polonia. A od niedawna również Och-Teatr. ■